

M. cz. Pod Stokiem

KSIĄŻNICA LITERACKA № 1.

ADAM -MICKIEWICZ.

POD STOCZKIEM

(TYDZIEŃ MIODOWY REKRUTA)

z słowem wstępnem
WIKTORA GOMULICKIEGO.



WARSZAWA.

1911.

Cena kop. 20.

<http://rcin.org.pl>

283/134

Skonfiskowane!

Autowi przedmiot wyłożono proces,
(o „podburzanie do buntu i zdrady“!!!?)
grozący mu zestaniem na ośrodek.

POD STOCZKIEM.

Wydawca i Redaktor **Stefan Sierzputowski.**

<http://rcin.org.pl>

KSIĄŻNICA LITERACKA № 1.

ADAM MICKIEWICZ.

—

POD STOCZKIEM

(TYDZIEŃ MIODOWY REKRUTA)

z słowem wstępnem
WIKTORA GOMULICKIEGO.



WARSZAWA.

1911.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Długołęczy 72
<http://rcin.org.pl>
Tel. 26-68-63



Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

9284_a
<http://rcin.org.pl>



Zażądano odemnie wstępu do opowiadania Mickiewicza, które w oryginale francuskim nosi tytuł: „Miodowy miesiąc nowozacieżnego“. Pacyfista, wszelkiej wojny przeciwnik, pisać mam o utworze, sławiącym walkę orężną. Wyglądałoby to na ironję, gdyby nie chodziło o poetę miary tak wielkiej, że względem niego szczerłość najzupełniejsza nietylko jest dozwolona, lecz—obowiązuje.

Każdy, kto gorąco, na śmierć i na życie, kocha wyznawaną przez się ideę, nie zniży czoła przed największą nawet powagą, gdy ona tej idei staje na wstręcie. Zmuszony wybierać pomiędzy Mickiewiczem a Chrystusem, bez wahania odstąpi Mickiewicza. Ale wpierv będzie się starał za wszelką cenę zrozumieć go i usprawiedliwić.

Mickiewicz, nazywający siebie Litwinem, był naprawdę w każdym calu typowy Polak. Duszę miał wojowniczą i zadzierzysłą. Całe życie upłynęło mu na walkach. Zaczął od walki z pseudoklasycyzmem i krytykami, skończył na formowaniu legjonów, mających podkopać potęgę Rosji. Zawsze był gotowy rwać się do korda przeciw temu, kogo uważał za swego wroga, a mówiąc ściślej: za wroga swoich przekonań i swoich umiłowań. Gdy jednak przeciwnika rozgrzeszył w swem sumieniu, rękę mu podawał i do serca go przyciskał.

Jako odtracony od Maryli przez magnata, krył w zanadrzu „błyskotkę dla jasnych panów“, a na emigracji z jasnymi panami bratał się i zasiadał z nimi przy jednym stole, biesiadnym i obradowym. W pierwszej młodości, każdy „Moskał“ był mu nienawistny, potem wyprawiał poetyckie missywy do „przyjaciół-Moskali“, a w postaci Rykowa wyobraził rdzennie rosyjską, zdrową, poczciwą naturę.

Walczył nawet z Bogiem i tytanowe wyznania mu rzucał, a potem w proch przed nim upadł, sługą się jego najzarliwszym uczynił.

Dwuch tylko cnót ewangelicznych do koń-

ca życia przyswoić sobie nie zdołał: nie umiał przebaczać nierozgrzeszonym przez siebie wrogom i—zbyt wielką władzę przypisywał orężowi. Nawet nauka Towiańskiego, całkowicie na ewangeliji oparta, nie potrafiła tych chropowatości jego ducha ostatecznie wygładzić.

Na usprawiedliwienie poety wiele przytoczyć można. Pochodził z drobnej, zaściankowej szlachty, z rodu sejmikowych krzykaczy i rębajłów. Lata jego chłopięce, w których dusza na cały żywot się kształtuje, przypadły na czas boskiej niemal potęgi Napoleona, mieczem i ogniem świat podbijającego. W młodości „władza“ gnębiła go przemocą materialną, budząc żądzę odwetu tą samą bronią. Gdy bawił na zesłaniu w Cesarstwie, miał wciąż przed oczyma musztry, rewje, parady, cały nadzwyczajny, uniformowy i arsenałowy, przepych państwa przeważnie militarne go. Na emigracji, żył w otoczeniu wyższych i niższych oficerów wojska polskiego, którzy rozprawiali nieustannie o odbytej kampanji, o stoczonych bitwach, o tryumfach oręża, o marszach, atakach, fosach, okopach, redutach. Widział dwie rewolucje w Paryżu, współdziałał w ruchach powstańczych w Poznańskiem, zajmował się gorąco wojną węg-

gierską, wreszcie rozognił mu wyobraźnię, rozgrzał krew i do czynu, szalonego niemal, pchnął—Sewastopol.

Idea pokoju, dziś zaledwie pierwsze, nieśmiałe kroki na ziemi stawiająca, wówczas była dopiero lotną, na wyżynach ducha unoszącą się, mgławicą. Dla duszy wieszczka, widzącej nietylko obecność, lecz i przyszłość, obcą ona być nie mogła; ukazywała mu się wszakże w takim oddaleniu i na takiej wyżynie, że o natychmiastowem wcielaniu jej nawet nie myślał. To właśnie jest powodem, że nas, pacyfistów, już dziś niektóre miejsca poezji Mickiewiczowskiej rażą—następców zaś naszych o wiele więcej jeszcze razić będą.

Nie mówiłbym tu zresztą o tem wszystkim, gdyby opowiadanie poniższe inny miało początek i inne zakończenie. Do tych tylko dwóch punktów stosują się moje uwagi. Poza tem, utwór jest świetnym obrazem walki i zwycięstwa, niezwykle oryginalnym w pomyśle i artystycznie doskonałym w wykonaniu.

Jakkolwiek opowiadającym jest tu żołnierz-ochotnik, my w ciągu całego opowiadania słyszymy głos Mickiewicza. I gdy nam poeta przedstawia kapucyna „w habicie i na koniu“, który „w jednej ręce miał lancę, a dru-

gą błogosławił krzyżem lud, nogi mu całujący“, my dopatrujemy się w tym kapucynie samego poety.

Skąd bierze się w nas wyrozumiałość dla tej bitwy, a właściwie dla jednej tylko ze stron, udział w niej biorących? Oto dlatego, że prawo boskie i prawo ludzkie, zabraniając zabijać, pozwala jednak bronić się, a myśmy pod Stoczkiem w obronie bytu i godności swojej stawali...

Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy napadającym a broniącym się, pomiędzy zaborcą a jego ofiarami. Synowie dawnej Rzeczypospolitej polskiej, choć z konia prawie nie zsiadali, i nawet śpiąc, głowicę miecza dzierżyli, w działaniu wojennem wyobrażali częściej stronę bierną, niż czynną. Nie byli-to urodzeni wojownicy z instynktami lwów i orłów, jak na przykład Rzymianie albo plemiona mongolskie, gdyż ani klimat, ani fizyczne właściwości gruntu, ani nawet płaski, sosnami rozzieleniony, zbożem wyłaczany krajobraz do tego ich nie usposabiał. Za oszczep, za miecz, za strzelbę chwyтали Polacy tylko w obronie tego, co im było najdroższe: swych niewiast i dzieci, swych domostw z sośniny, kościołów z modrzewia, swych lasów, pól, łąk, rze-

czułek—przedewszystkiem zaś w obronie swej niepodległości. I stądto w mowie ich oręż nazwany został *bronią*.

W duchu najzupełniej narodowym przedstawił Mickiewicz rwącego się do boju Polaka jako rozkochanego nowożeńca. Polacy, oddając życie za Ojczyznę, spełniali tę ofiarę z twarzą pogodną, z sercem wesołym. Szli na wojnę jak na zabawę, bój nazywali „tańcem”. Słynne były przez kilka stuleci ich „tańce tatarskie“!..

Pod Stoczkiem została stoczona pierwsza z bitew 1831 roku—tych bitew, nazawsze dla Polaka pamiętnych, które były jakby rozdzielkami wspaniałej, choć krwawej i tragicznie zakończonej, epopei. Ta bitwa pokazała nieprzyjacielowi, rodakom i światu całemu: co Polacy mogą, i co Polacy—mogli-by...

Mickiewicz gienjalnie odtworzył niewielki rozmiarami, lecz potężny ożywiający go duchem, epizod. Rozmyślnie też nadał mu eposowe, klasyczne znamię, nie wymieniając w opowiadaniu ani jednego nazwiska. Ale stało się z tem, jak z Thorwaldsenowskim posągiem księcia Józefa. Rzeźbiarz, chcąc bohatera narodowego unieśmiertelnić, dał mu kształty klasyczne i prawie nagiego odział tylko w lek-

ką, rzymską tunikę. Życie i *vo.r populi* okazały się jednak doskonalszymi od niego artystami. Książę Józef przeszedł do nieśmiertelności w pięknym stroju ułana polskiego, w malowniczym *szako*, w burce, z fantazją na ramiona zarzuconej...

Mówiąc dziś o Stoczku, nie uważamy za potrzebne przemilczać nazwiska bohatera, o którym w opowiadaniu mówi się tylko: „nasz dowódca“. Według nas, nie tylko uroku chwili nie osłabia, lecz owszem wzmacnia go jeszcze wymienienie generała Dwernickiego, który pod Stoczkiem okrył się chwałą nieśmiertelną. Co prawda, inaczej się przedstawia ten bohater nam, patrzącym nań z oddalenia lat osiemdziesięciu, a inaczej przedstawiać się musiał Mickiewiczowi, który z nim fajkę palił i grywał w warcaby. Nie stawia się posągów żyjącym (Ordon poczytywał Mickiewicz za nieżyjącego). Na podobną bez... ceremonjalność zdobywać się mogli, względem siebie samych, tylko ostatni cesarowie rzymscy, a za dni naszych—cesarz Wilhelm-Samochwalca.

Pamięć Stoczka, tak samo jak Raclawic, utrzymała się w piosence. „Grzmia pod Stoczkiem armaty...“ — nuciły i dotąd nuca tysiące ust polskich. Piosenka podała nam ton za-

sadniczy tego sławnego boju. Pamiętał o tym tonie Mickiewicz, i w jego opowiadaniu grzmot działa rozlega się donośnie.

O czym innym jednak, ważniejszym może, zapomniał.

Tradycja mówi, że pod Stoczkiem bataljon nowozaciennej piechoty naszej, gradem kul i kartaczów zasypywany, murem stał w miejscu, wyśpiewując na cały głos: „Jeszcze nie zginęła...” Ryki armat zagłuszyć śpiewu nie mogły. Czemuż wieszcz swem Homerycznym słowem tego epizodu nie uśmiertelnił!

Śpiewający bohaterowie... Tego nie znała nawet Grecja Peryklesów. To było obce nawet Sparcie Leonidasów.

Wiktor Gomulicki.

Semaine de miel d'un conscrit.

Zazdroszczę Atyli, który stoczył tysiąc bitew, a w tysiącnej jeszcze czuł w sobie to, co nazywał *gaudia certaminum*, czyli roskosz rzezi. Oj, było krwawy rozpustnik ten stary hetman! Co się mnie tyczy, piastującego stopień sierżanta lekkiej artylerji, wyznaję, że naprawdę zakochany byłem w wojence, ale tylko przez pierwszy tydzień mego wojskowego zawodu, i że w Atylowej roskosz raz tylko jeden zasmakowałem. Z tej-to przyczyny nigdy już nie wyjdzie mi z pamięci pierwszy miodowy tydzień i pierwsza bitwa.

Pierwsza bitwa ma szczególniejsze podobieństwo z pierwszą miłością. Ileż nadziei! ile złudzeń! Przed tą uroczystą akcją, która rozstrzyga o losie narodów, lada rekrut czuje się powołanym do odegrania co najmniej roli... jakiego bohatera historii lub romansu.

Przychodzi wreszcie do rozprawy: stajesz do niej z niecierpliwością i pewnym niepoko-
jem, doznając to trwogi śmiertelnej, to znowu
szalonej wesołości; już cię strach przeszywa,
już cię podnosi pycha tryumfatora. W jednej
godzinie przechodzisz przez tłumy wzruszeń
i zbierasz wspomnienia na całe życie! Lecz
aby to czuć z całą mocą, potrzeba mieć serce
dziewicze, serce rekruckie.

Powiedział ktoś, że każdy człowiek może
skomponować dobry romans, opowiadając tylko
po prostu historję swej pierwszej miłości. To
spostrzeżenie zachęciło mię do opisanja pierw-
szej bitwy, w której uczestniczyłem.

Trzeba wiedzieć, że ta bitwa jest tylko
epizodem sławnej wojny, że w niej odnieśliśmy
świetne zwycięstwo, i że w swoim czasie zje-
dnała nam podziw ludów europejskich. Wpraw-
dzie dawne to czasy, bo ludy dobrze już za-
pomniały i o naszych klęskach i o naszych
tryumfach. Mimo to żołnierz polski nigdy nie
zapomni o bitwie pod Stoczkiem.

Po rewolucji 29 listopada postanowiłem
wstąpić w szeregi i rozmyślałem, czy do piecho-
ty, czy do jazdy. Ażeby zrobić stanowczy wy-
bór, przebiegałem ulice Warszawy, przypatru-
jąc się bacznie mundurom różnych pułków.

Najprzód zatrzymałem się przed bataljonem grenadjerów, którzy maszerowali w ściśniętych szeregach, z szewronami na ramionach. Byłyto resztki legjonów Napoleońskich. Kiedy przechodzili, ustępowano im z uszanowaniem i szeptano w tłumie: „To mi żołnierze! to nasi obrońcy!“ Zazdroszczę im—pomyślałem—piękna to rzecz być grenadjerem! I zbliżyłem się do oddziału, a zajmwszy miejsce obok dobosza, maszerowałem krokiem grenadjer-skim, upatrując komendanta, któremu chciałem ofiarować swoje służby.

Wtem, na drugim końcu ulicy, ukazał mi się nowy meteor wojskowy. Byłto krakus na białym koniu, w białej sukmance, w czerwonej czapeczce z białym piórkiem, który jak łabędź przerzynał czarne fale mieszczuchów. Ślicznie wymijał on koniem; pieszych witał skinieniem głowy, z kawalerzystami ścisnął się za ręce, a pięknym damom, stojącym w oknach, posyłał wdzięczne pocałunki. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu; mężczyźni klaskali, kobiety uśmiechały się w milczeniu, a piękny krakus stał się bożyszczem chwili.

Przyszło mi zaraz na myśl, że w mundurze krakowskim, na mój wiek i wzrost, będzie mi bardziej do twarzy. A tak objawiło

mi się moje właściwe powołanie: Bóg mię stworzył krakusem!

Zwróciłem się więc w stronę koszar jazdy; ale w połowie drogi wpadłem w niezmierny tłum, który mię porwał za sobą i uniósł ku rogatkom. Lud się cisnął na spotkanie nowo nadciągających szeregów. Osobliwsza figura jechała na przodzie: było stary kapucyn w habicie i na koniu; w jednej ręce miał lancę, a drugą błogosławił krzyżem lud, który mu nogi całował. Za kapucynem postępowało tysiąc strzelców z lasów augustowskich. Mieli przewieszane dubeltówki i wielkie torby borsucze z pazurami i wyszczerzonymi zębami, bielejącymi na zielonych kurtkach. Drugi tysiąc wieśniaków, uzbrojonych w krzywe kosy i siekiery, zamykał pochód.

Nigdy wejście najpiękniejszych pułków, nawet wejście księcia Józefa na czele zwycięskich legjonów, nie wzbudziło takiego zapалу, jak ten, z którym warszawianie witali torby borsucze i łyżane łapcie. Nie byłyto już oklaski, ani uśmiechy, ale krzyki, grzmiące *hura!* i błogosławieństwa, pomieszane z głośnym płaczem. Lud bowiem dziwnym swoim instynktem umiał chwycić wzniosłą i piękną stronę obrazu. Na widok tych ka-

planów, tych wieśniaków, co porzucili cele klasztorne i swoje bory, ażeby się bić z wrogiem ojczyzny, lud zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa oraz pojął z całą ufnością, że to jedyny środek obrony.

Wzięła mię nagła pokusa porwać natychmiast za kosę lub za dubeltówkę i stanąć do szeregu z chłopami, by z nimi podzielać tryumfalne wejście do stolicy. Ale jakże to zrobić? jak nadać sobie ruchy zuchowate i wyzywające kosynjera mazowieckiego lub wyraz ponury i dziki strzelca znad Niemna? Jak wyrównać im wzrostem i szerokością pleców? Wśród tych olbrzymów wyglądałbym jak królik między wilkami.

Cóż więc pocznę ze sobą? Czy mam być krakusem, czy grenadjerem? Niepewność ta dużo mię kosztowała.

Znajomy mi pułkownik spotkał się ze mną w przechodzie, i klepiąc mię po ramieniu, rzekł:

— Dowodzę oddziałem partyzantów; część moich ludzi wyszła już w pole, ja sam dziś wyruszam z Warszawy. Potrzebuję kanonierów; może wiesz, gdzie ich znaleźć?

— Wiem o jednym — odrzekłem, przy-

bierając postawę wojskową.—Potrzebujesz kanonjera: oto go masz!

— Zgoda! — rzekł pułkownik.—Naciągaj mundur i staw się u mnie dziś wieczór punkt o dziewiątej; czy rozumiesz?

W taki sposób werbowano żołnierzy w czasie naszego powstania.

Tegoż dnia o jedenastej w nocy maszerowałem umundurowany przy swojej armacie.

W ciągu marszu ćwiczyłem się w użyciu tej broni, a tyle dokładałem pilności, że po trzech dniach mianowano mię sierżantem i pod moje rozkazy oddano armatę. Zawistni utrzymywali, że stopień mój zawdzięczałem osobliwym względom pułkownika.

Bądź co bądź, sam się zdziwiłem, zmieszalem i niemal zawstydziłem z powodu tak nagłego awansu. Zawróciło mi się w głowie, i dopiero po kilku godzinach osłupienia zacząłem uczuwać wpływ tej nowej godności. Mimowolnie przybrałem minę marsową i poważniejszą; wyciągnąwszy uroczyście prawą rękę, położyłem ją na mojej własności, na wylocie armaty. Ten kawał brązu — myślałem sobie — będzie filarem w świątyni mojej sławy; będzie pierwszym stopniem w rycerskim zawodzie, a może... i na tron mię

zawiedziel! Dobrze wycelowane działo rozstrzyga nieraz los wojny. A Napoleon od czego zaczął, jeżeli nie od stopnia kanonjera?

Pelen tych marzeń, zakochałem się w swojej spiżowej armacie jak w pannie i odtąd zawsze byłem przy niej. Badałem jej wady i przymioty; roztrząsałem charakter i poznałem najdokładniej cały jej skład i naturę zarówno fizyczną, jak moralną. Tak dobrze wbiła mi się w pamięć, że zrobiłbym z pamięci jej portret. Dźwięk jej głosu znałem tak dobrze, żebym go mógł być rozróżnić wśród huku najżywszej kanonady, choćby pod Lipskiem lub Ostrołęką. Kochana moja armatko! cóż stało się z tobą? w czyjeś ręce popadła? Zapewne nikt cię tak nie popieści, jak ja cię pieściłem. Ta myśl mię jedynie pociesza. Byłato wprawdzie niewielka ośmionfuntówka, ale dla mnie była ogromną, bo brzemienna całą moją przyszłością. Zresztą dobrze osadzona, łatwa do manewrowania i dziwnie celnego strzału.

Cały dzień ledwo mi wystarczał na spełnienie obowiązków przy kochanej armatce, a i przez noc nie przestawałem myśleć o tym przedmiocie mojej miłości. I tak, jednej nocy śni mi się bitwa, a naprzeciw siebie ko-

góż widzę? — feldmarszałka Dybicza! Zaraz biorę go na cel — — paf! i moja kula przecina go na dwie połowy. Puszczam się, aby oderwać mu głowę i jeszcze ciepłą zanieść do naczelnego wodza, księcia Radziwiłła, ale trup Dybicza tak ostro się bronił, że aż wybiłem się ze snu i w rzeczywistości—zamiast głowy moskiewskiego wodza—trzymałem głowę śpiącego obok mnie kanonjera... Innej nocy gorsza rzecz mi się zdarzyła: śniłem, że jazda moskiewska wpadła na nas niespodziewanie, i mnie naprzód zabito, potem wycięto moich kanonjerów, a nareszcie kirasjer moskiewski siadł na mojej armacie jak na koniu i zaczął ją zagwałdzać, spoglądając na mnie okiem pogardliwym. Wtedy uczułem wszystkie męczarnie męża Lukrecji i ojca Wirginji! Chociaż byłem już trupem zimnym i skostniałym, niemniej dobywałem wszystkich sił, aby dać znak życia, i pasując się ze sobą, udało mi się nareszcie tak tęgo wrzasnąć, że m się i sam przebudził i zaalarmowałem cały obóz. Zerwawszy się na nogi — a właśnie dzień poczynało — szukam oczyma mojej armaty i widzę z niemalą radością, że jest, że spoczywa wolna i spokojna na swej lawecie. Otwarta jej paszcza zdawała się

wciągać chłodek poranka, a lśniąca powierzchnia odbijała pierwsze promienie słońca. Położyłem się znowu na mokrej ziemi, ale tym razem—przez ostrożność—trzymałem ręką za szprychę, ażeby bronić mego skarbu przeciw rzeczywistej lub sennej napaści.

Tak przeszedł cały tydzień — mój pierwszy tydzień po zaślubieniu pięknej ośmiofuntówki, tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszczęśliwszy tydzień w mojem życiu! Każdą chwilę miałem zajętą w przekonaniu, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła całkiem w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach, i widać było tu i owdzie występującą wodę. Pułkownik nasz, z tyką w rękę, pierwszy się puścił na lód, brodząc w wodzie po kolana; potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim—i to z naszymi armatami—po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem jak śmierć, cała bowiem moja przyszłość urojona mogła utonąć. Nakoniec przeszliśmy szczęśliwie i na drugim brzegu stanęliśmy z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Tego samego wieczora nastąpiło połącze-

nie się z korpusem, przodem wysłanym z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze wysokie mają wyobrażenie o potędze artylerji, a bardzo ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Posłyszeliśmy turkot kół armatnich, cały obóz nie posiadał się z radości.

— Nasza artylerja nadciąga! Niech żyje artylerja!—wołali ze wszystkich stron, wybiegli na nasze spotkanie i postawili nas w środku obozu.

My także z zapałem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywając marsze w osamotnieniu, teraz znaleźliśmy się w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba wydawała się znaczną na oko. To podniosło naszą ufność. Wszystkiego jednak nie było więcej nad dwaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki iskrzyły się barwami, nie znającemi jeszcze krwi i kurzu. Po wesołej i hucznej wieczerzy pokładaliśmy się spać, kołysani dźwiękami muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady, i okazało

się, że to okrzyki zwycięstwa! Nasza bowiem awangarda pojmała kilkudziesięciu kozaków. Pierwszy to tryumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się nimi. Kozacy ci, brodacze rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczonei głowami i kwaśną miną. W miarę jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze przedrwiwali z nich, klęli lub grozili. I mnie brała chętka robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc, surowo ich gromiąc, rzekłem:

— Polacy! szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! litość nad zwycięzonymi! Niech żyje Polska!

Żołnierze uspokoiili się, jak piorunem rażeni wspaniałością mych uczuć i sentencjonalną wymową.

Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę jeden stary kanonjer, jadący obok mnie, który ciągle się wspinał na strzemionach, zadzierał głowę, wyciągał szyję ponad ramiona swych towarzyszy.

— Za czem tak patrzysz, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie; niech ich tam kaci porwą...

I wskazał palcem na wzgórze, będące przed nami. Ujrzałem wtenczas, że się coś czerniło na szczycie wzgórza. Byłyżto krzaki, czy kaszkiety piechoty moskiewskiej? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, albowiem nadbiegli adjutanci, wołając z całej siły:

— Artylerja naprzód! stawać do pozycji!

Ruszyliśmy, co koń wyskoczy. Padł strzał armatni, i kula, zabiwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej, odbijając się. Zajęliśmy pagórek wprost nieprzyjaciela, który podwoił ogień.

Szeroka płaszczyna, obwiedziona krzakami i borem, roztaczała się przed nami. W środku niej na wzgórkach zatoczyli Moskale baterję dwunastu dział ciężkiego wagomiaru, które nas osypywały kulami i granatami. Za baterję widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda podobnie stała spokojnie, zostawiając czas działania artylerji.

Zauważyłem, że żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i wyraz twarzy właściwy sobie. I tak artylerzysta nie ma kawaleryjskiej rzutności, ani cierpliwości piechura, lecz baczny na komendę, szybki i dokładny w każdym poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego, dy-

mem gryzione, krwią zaszłe, brwi zmarszczone, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda, wyrażają zażartą wściekłość, tłumioną i zogniskowaną.

Śród tego ognia, mimo że śmierć zmiała głowy, nie przestano żartować; każdym razem, gdy kula odskakiwała, młodzi żołnierze nieomieszkali rozmawiać z nią i dawać jej rady. Gdy odbijająca się kula mogła być widzianą zdaleka, jak skakała po polu, jeżeli więc szła nabok, na lewo, wołano na nią: gdzie lecisz, ślepa! bierz się na prawo; a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: dobrze! dobrze! —i tak rozmawiano z nią, dopóki nie wpadła w sam środek linii nieprzyjacielskiej, i wtedy dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kano-nada. Chociaż gorączkowo uwijaliśmy się przy działach, jednak zabawka ta ciągnęła się za długo, aby nie pragnąć nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widoczną przewagę—tak co do liczby, jak i wymiaru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było ranionych, a wszyscy, lubo nadzwyczaj zmęczeni, nie upadali przecież na duchu, i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony okropnie ryknęły



działa. Moskale właśnie tam postawili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać; lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejszem, bo sześcioma polowemi armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego wagomiaru—to nie przelewki. Nasi żołnierze na widok tej nierówności sił wydawali się być pomieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrzały nasze rzadziej się odzywały, a nawet dykteryjki i żarciki jakoś ustały.

Można wnosić, że nasz dowódca czekał na to, aż Moskale rozdziela swe siły, aby skorzystać z tego momentu i uderzyć na nich; tak przypuszczam, lubo nie kuszę się rozprawić o planie bitwy. Tyle wiem, że w najkrytyczniejszej chwili usłyszeliśmy od lewej strony tentent konnicy pędzącej galopem, i w kilka minut potem owa baterja umilkła, gdyż była zdobytą.

Nasz dowódca zawrócił i poskoczył ku głównej sile naszych szwadronów, wołając:

— Naprzód kłusem! naprzód wiaral

I cała nasza jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję.

— Idą do szarży! — wołali nasi kanonjerzy, i zaraz zaprzestaliśmy strzelać.

Jakiż-to widok! Młodzi ułani z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale radzi nie radzi, musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał:

— Kłusem! naprzód! kłusem!..

Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorączkowo drgały ręce żołnierzy. Nakoniec ozwały się trąby, zniżyły chorągiewki, i już kopnięto się na nieprzyjaciela. Naprzód! galopem! naprzód! wiara!

Popędzili! — Myśmy zostali przy naszych armatach, nic nie robiąc, a nawet nic nie myśląc. Artylerja — niedawno tak ruchliwa i hałaśliwa — wydawała się skamieniałą. Dusze nasze uleciały daleko i usiadły na ostrzach groków ułańskich. Oto już blisko są Moskali! Już moskiewskie szeregi uwijają się, ażeby ich przyjąć. Kanonjerzy powyłazili na lawety, na jaszczyki i patrzą w przestrzeń, podani naprzód, z gębą otwartą; a była taka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia się zawisł nasz los, los naszego wojska, może i ojczyzny! Byłato chwila

oczekiwania i strasznej niepewności; szczęściem, trwała kilka tylko minut.

Nasi ułani starli się z Moskalami na wyżynie. Obie linje zetknęły się ze sobą i pomieszały. W całej tej masie zawrzało—i cała zniknęła jak tuman kurzawy, pędzonej wiatrem.

Nie wiem, kto taki, lecz ktoś wśród nas krzyknął na całe gardło — — okrzyk ten przerwał grobową ciszę, ogłaszał bowiem zwycięstwo, wszakże nikt mu nie wtórował, my bowiem, młodzi żołnierze, jeszcześmy nie rozumieli ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości.

— Poczekajmy!—ten i ów mówił. — Do-
tąd niema nic pewnego, nic nie widać, wszyscy
gdzieś się podzieli!..

Nareszcie część tej masy, którą widzieli-
śmy, jak zginęła nam z oczu, zaczęła się ku
nam zbliżać. Po kolorach poznaliśmy naszych
ułanów i po okrzyku wojennym: *Jeszcze Pol-
ska nie zginęła!...*

Już niema co wątpić: zwycięstwo przy
nas!

Zbliżająca się masa przedstawiała osobli-
wy widok.—Widać w niej było mnóstwo pie-

szych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa... Byli to jeńcy moskiewscy, zabrani z artylerją i całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, tej szalonej radości! Jako?! cała ich artylerja — w naszych rękach!.. Rzuciliśmy się obces na te armaty, ściskając je, pieszcząc się z niemi, a ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmioletówce.

Pięknież-to były te rosyjskie armaty—takie ogromne, nowe, doskonale umontowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzno, panie sierżancie — wołał kanonjer Mateusz—patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przeklęte Moskale!

Zacząłem rokoszną ręką głaskać wypolerowaną powierzchnię spiszową, a wszyscy powtarzali chórem:

— Ależ-to się świecą te moskiewskie działa!

— A jaki kaliber! — zauważył jeden kanonjer. — To mi to kaliber! to mi to pukawka!

Zacząłem mierzyć wylot granatnika, a żołnierze powtarzali:

— To nie żarty taka paszcza!

Potem, kiedyśmy zaczęli oglądać uprząż, znowu chórem wołano:

— Ależ-to tęgi rzemień mają te przekłete Moskale!

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość. — Oto ni mniej, ni więcej, jak zwykły owies, zabrany łupem. Nasza jazda nie miała już furazu, a Moskale mieli go poddostatkim; ich furgony, jaszczyki, lawety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napełniając nim worki, ładownice, kieszenie i opowiadając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz, i na jego widok zagrzmiął okrzyk zapału i uwielbienia. Snać bardzo był zmęczony, bo choć dzień chłodny, pot płynął z niego kroplami. Otoczyliśmy go gęstym tłumem. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— Dzieci moje—rzekł do nas—przysięgam poprowadzić was na nieprzyjaciela, wy przysięgliście pobić go, a tak i ja i wy dotrzyaliśmy słowa.

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem.

Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach. Słuchaczów nie było, wszyscy bowiem mówili; wszyscy się dzielnie spisali w bitwie, wszyscy mieli dowcip — — bo wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli przyjdzie dla mnie ta błogosławiona godzina, że jeszcze będę mógł walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odszukać moją ukochaną ośmioletką i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej: natenczas nazwę się prawdziwie szczęśliwym; a jednak nawet wśród tryumfów nie potrafiłbym czuć tego, czego doświadczałem w pierwszej bitwie, w bitwie pamiętnej pod Stoczkiem.

Paryz, 1835.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

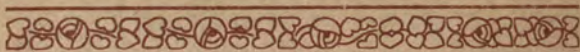
Od Wydawcy.

Niniejszy utwór Mickiewicza, napisany w języku francuskim, był drukowany w r. 1835 w czasopiśmie francuskim „Revue du Nord“ pod tytułem: „Semaine de miel d'un conscrit“.

Przekład ukazał się pod tytułem zmienionym: „Moja pierwsza bitwa“ — w dwóch wydaniach polskich dzieł Mickiewicza, w wydaniach zresztą mało rozpowszechnionych.

Bitwa pod Stoczkiem — jedna z najpamiętniejszych w dziejach Polski porobiorowej — odbyła się w dniu 14 lutego roku 1831. W niej Dwernicki po bił korpus rosyjski Geismara.





WARUNKI PRENUMERATY:

Z odnośzeniem do domu lub z przesyłką
pocztową:

Rocznie (tomów 40) rb. 6 kop. —

Kwartalnie (tomów 10) rb. 1 kop. 50

Zagranicą:

Rocznie (tomów 40) rb. 10 kop. —

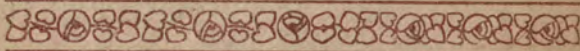
Kwartalnie (tomów 10) rb. 2 kop. 50

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Chmielna 20 m. 6.

Wydawca i Redaktor:

Stefan Sierżputowski.



F

9284 a,b